Rok III 22 listopada 1931 Nr. 47

DZWONECZEK

GŁODNE DZIECI.

Zima się zbliża. Rodzice ubierają was ciepło, by w ten sposób uchronić was przed przeziębnięciem. Idziecie codzień do szkoły, ciesząc się, że lada dzień śnieg spadnie, będzie jazda na sankach.

Nic wam nie dolega, o nic się nie martwicie — macie przecież kogoś, kto się o was troszczy.

Ale nie wszystkie dzieci mają ojca i matkę, jest im wesoło. Nie wszyskim jest ciepło i mogą się cieszyć beztrosko.

Spójrzcie tylko uważnie po ulicach, przez które zdążacie, a z pewnością niemal na każdej zobaczycie równych sobie wiekiem, którzy jednak nie mogą tak, jak wy kształcić się, lecz już od najmłodszych lat muszą pracować na chleb. Sprzedają gazety, zamiatają sklepy, rozwożą, posługują, słowem imają się wszelkiej pracy na jaką ich siły pozwalają, nieraz ponad własne siły. Ich rodzice są tak biedni, że nie są w stanie sprawić im ani takich ubrań, jak wy macie, ani książek.



Gorliwi przyjaciele „Dzwonu Niedzielnego" w Trzebini: 1) Zygmunt Piątek, 2) jego brat Jan, 3) Franciszek Pstrucha,

Biedne dzieci, o wielu z nich nikt się nie zatroszczy — przeważnie są sierotami. Kiedy wam ciepło, dobrze, nie jesteście nigdy głodni i sypiacie wygodnie, im często, ach jak często dokucza głód, mieszkają w nędznych izdebkach nieopalanych i sypiają na barłogach, na ziemi.

Jeżeli mają zajęcie, to jeszcze jako tako, natomiast gdy go znaleźć nie mogą, wtedy niejeden raz przymierają z głodu. A dzisiaj przecież tak trudno o pracę.

Bardzo biednych rówieśników znajdziecie nie tylko na ulicy, lecz i na ławie szkolnej, w klasie wśród was

Nie możecie być obojętni na ich nędzę. Już od młodości trzeba wzbudzać w sobie poczucie litości braterskiej, bo jak zresztą słusznie pisze poeta:

»Litość za litość, niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka«.

Kto wie, czy wy dziś wspomagając kolegę, jutro nie będziecie potrzebowali jakiejkolwiek jego pomocy. A chociażby nie — to Bóg wam stokrotnie wynagrodzi. Zresztą i obowiązek katolicki domaga się niesienia pomocy potrzebującym.

Zatem odmówcie sobie jakiej zabawki, lub czekoladki, czy cukierków, a zaoszczędzony w ten sposób grosz dajcie na biedne dzieci. Pewnie, że z początku będzie wam bardzo trudno wyrzec się tej, czy innej przyjemności, ale gdy przezwyciężycie się jeden i drugi raz, to później z przyjemnością podzielicie się z biednym nawet śniadaniem.

— Mamusiu, nie kupuj mi czekoladki, ja te pieniądze dam na biedne dzieci — powiedz tak matce. Z pewnością ucieszy ją twoje dobre serduszko.

A że i wy możecie wiele zdziałać przytoczę prawdziwe zdarzenie świadczące o głębokiem odczuciu niedoli ludzkiej wśród niektórych z was. Oto w tych dniach w redakcji »Dzwonu« zgłosiło się trzech chłopczyków: Alfred, Jan i Karol Sztadtmülerowie i ich kuzynka Jadwiga, ofiarując 17 zł. na głodne dzieci. Zapytane skąd taką sumę mają opowiedzieli, że urządzili loterję fantową na głodne dzieci. Losy rozsprzedali wśród krewnych i znajomych, którzy chętnie poparli szlachetny czyn litościwej czwórki i w ten sposób zdobyli owe pieniądze. Widzicie więc co może zdziałać dobre serce, trzeba tylko trochę chęci.

Niechaj więc ten przykład, jak wogóle te słowa nie przejdą wśród was bez naśladownictwa. Szczególnie dziś w czasach tak ciężkich winniście i wy, kochane dzieci, iść z pomocą swoim rówieśnikom na jaką kogo stać.

Sk.

Wychodzimy ze szkoły.

Co to za radość: dzwonek ostatni — koniec lekcji — pacierz — i do domu... Ale czy wszystko tu w porządku?

Pan, lub pani wzywa do modlitwy, a nieraz wzywa długo, bo szelest ogromny, składanie rzeczy, przyborów, książek, zeszytów... Już modlitwa... a tu ten i ów kończy składanie piór, rączek, ołówków do piórnika — tamten znów zapina torbę, inny myślą już na ulicy, ręce niedbale złożone.

Po modlitwie to wszystko ma być załatwiane... Ubieramy się. A tu zaczyna się skakanie przez ławki, po ławkach, znów upominanie — i wzywanie do porządku.

A w szatni niegrzeczny uczeń czy uczennica — nie mogąc się dostać do swojego płaszcza — strącił, lub strąciła cały stos ubrań na ziemię. Czy to ładnie?

Ustawiamy się przed bramą do wyjścia!... O jak długo trzeba czekać na porządek... Wreszcie z pozdrowieniem chrześcijańskiem opuszczamy szkołę...

Jedzie na nieszczęście fura... Ktoś skoczył, uwiesił się z tyłu, śmielszy wyszedł na furę — jedzie tramwaj... dalejże pędzi, by się uwiesić choć na chwilę — to znów auto... a no wyścig gotowy, za śmiałkiem pędzi drugi, trzeci, dziesiąty, hałas, krzyk — czy to w porządku?

Powiecie — »nie« — ale pytam dalej — czy bezpiecznie, odpowiecie — »e, nic się nie stanie« — tak — raz, drugi może nic, a może i tak być, że uderzysz głową o wóz, tramwaj, wpadniesz pod auto i co dalej?

Wchodzą niektórzy do tramwaju, bo mają daleko — rozsiadają się na ławkach — wchodzi starszy — czy dalej mają siedzieć? — chyba nie.

A tu już blisko do celu, a przystanek dalej jeszcze, próbujemy wysko-

czyć — ktoś ze starszych wstrzymuje z uwagą: »co ty robisz, chłopcze, możesz wpaść pod koła«... Dąsać się trzeba? powiedz — chyba nie — tylko dziękować...

Widziałem ja młodego studenćika bez nogi... cóż się stało? — a no nie usłuchał, wyskoczył z tramwaju i nogę mu odcięło... Niedawno ucznia jednego śmiałka auto przejechało...

Na co ja to piszę?... Hej kochana młodzi — wesoło, żwawo, ale karnie wychodź ze szkoły, a na ulicy bacz na honor szkoły i bezpieczeństwo swoje... Już wiem, że wielu z was, a zwłaszcza rozsądni wezmą sobie to do serca i wpływać będą na drugich: »Odtąd porządnie wychodzimy ze szkoły i na ulicy porządnie s ę zachowujemy«. Dobrze?...

Wasz przyjaciel.

Nieużyte psy

Rankiem, raz w parku, — mniejsza o to, w którym —
dwa tęgie wilki w trawach uganiały: —
Korpus jednego w podskokach wspaniały
pławił się w słońcu, a drugi dogóry
podnosił paszczę z czerwonym jęzorem
i psztykał z nozdrzy (perłowym przestworem
i mocą woni nieco zadławiony)...

Rosa od łap ich w bryzgach się kruszyła,
a z kwiatów mglisto-tęczowe opony
rozpędu lotna wyrzucała siła,
iż oczom zdala zdumionym się zdało,
że przydeptane każde kwiatka ciało,
takim się barwnym gniewem oburzało..

Psy chybko biegły. Kłusując w zawrotach
po trawach, ławach i po żywopłotach,
radość i zręczność w młyńcach ujawniały,
a impet ich się w susach skupiał cały...
Gdy tak się cieszą ze smyczy spuszczone,
że blaski drgają, że jaśń ciepłem kurzy,
spostrzegły pudla... Hau!... Ten fajt na stronę
i przyczaił się pod krzewem, nieduży,
piszcząc z bojaźni...

„W krzakach się błaźni!"
— śmiechem parsknęły psie, złośliwe dusze —
„Ja go uduszę"
„Ja za kudełki pociągnę z rozkoszą!"
— Tak haucząc napadły...
Próżno się oczka obrośnięte proszą,
próżno kudłata mordka zęby w lęku szczerzy...
Humor dwóch wilków na pudla zajadły,
szarpie mu strączki puszystej odzieży
i w tan puszczając, tak się naigrawa: —
„Dla ciebie tutaj, Bobuś, w parku trawa?
Dla ciebie tutaj, włochate straszydło,
drzew, krzewów, kwiatów cudne malowidło?
Dla ciebie woda nurt swój łamie w kółka?
He? tobie w kłąbach zawodzi kukułka,
śpiewają ptaszki?"

„Aj, co za żarty, aj, zostawcie fraszki!...
Aj — pudel jęknął — biedne moje kości!...
Proszę ichmości!...
Czyliż dlatego, żem słaby i mały;
macie mi sprawiać tak przykre kawały?...

„Hau! i dlatego, że jesteś kudłaty...
Hau! won za kraty!”
— Tak warcząc, wilki precz pudla wygnały...
Gdy zniknął z parku, bardzo się cieszyły,
że jego kosztem tak się ubawiły...

— — — — — — — — — — — — — —

Ogon wtuliwszy pod brzuch, — osowiały,
biedaczek pudel, uciekał przez pola,
płacząc serdecznie: — „Biednaż moja dola!...
Tak od braciszków — psów mi się dostało!...
Na grzeczność nawet liczyć można mało” ...

Długosz Władysław S. U. J.

Rycerskie przygody Miłosza

(Ciąg dalszy)

— Mam ja tego napoju niewiele już, — mówiła żałośnie staruszka, — bo synek mój najmilszy umiał go z górskich ziół wyrabiać, o czem gdy się czarnoksiężnik dowiedział, uprowadził go podstępem do siebie na wyspę koralową i tam gdzieś go więzi, lecz synek mój nie zdradził sekretu jak się to robi i jęczy teraz biedaczysko gdzieś w zamknięciu, a ja tu już oczy za nim wypłakałam. Siedzę teraz tu w tych górach i pilnuję każdego kroku czarnoksiężnika, aby się dowiedzieć, gdzie mi syna ukrył, — lecz do tej pory daremnie.

— Nie bójcie się, matko, — odparł Miłosz, — już ja, jeżeli tylko szczęśliwie królewnę do zamku odwiozę, zajmę się odszukaniem twego syna.

— Oby ci zdrowie i szczęście dopisało w życiu — rzekła — że chcesz starej pomóc matce i wierzę, że o mnie starej nie zapomnisz.

— Bądźcie pewni!

— A teraz tu oto temi drogami wypadnie wam iść dalej — wskazywała. — Czasu nie traćcie, tylko spiesznie naprzód! naprzód! Dałam wam środek na zdobycie sił, lecz pamiętajcie — że czarnoksiężnik też różne posiada środki do swych celów, a niewiadomo który wybrał, to tylko wiem, że jest pewny, że mu nie umkniecie. A tobie, Miłoszu nie radzę, abyś mu wpadł w ręce, bobyś srodze musiał odpokutować za tego konia i królewnę. — Zaleciwszy im jeszcze raz pośpiech, znikła gdzieś jak widmo.

— Poczciwe stworzenie z tej staruszki — mówił Miłosz do Jagusi — tak nas prędko sprowadziła z góry. Ja gdy pierwszy raz tu szedłem, bez mała cały dzień straciłem, aby się na nią wydostać. Spójrz jaka wysoka!

A gdy się oglądnęli — strach ogarnął ich tak wielki, że słowa do siebie nie mogli przemówić. Oto na szczycie góry wokoło skamieniałego konia ujrzeli wielką chmarę ludzi, — a w pośrodku groźną postać czarnoksiężnika, który właśnie w ich stronę ręką wskazywał. Po chwili już cała ta masa ludzi biegła śladami Jagusi i Miłosza.

— Uciekajmy! uciekajmy!

Będąc jednego zdania, chwycili się za ręce i biegli ile sił naprzód ścieżkami wskazanemi im przez staruszkę. W jednem miejscu szeroki strumyk zagradzał im drogę, lecz oni nie chcieli tracić czasu na obejście go, więc na los szczęścia przeskoczą czy nie, — rozpędzili się i hop! już byli na drugiej stronie. Słonko już dawno zaszło i zmrok zapadał coraz większy, a oni biegli i biegli nie czując wcale zmęczenia — a za nimi dudniała ziemia od niezliczonej ilości ciężkich stóp czarnoksięskiego żołdactwa, które ich goniło.

C. d. n.